

AGNIESZKA
TYSZKA



ZOSIA

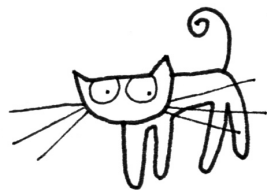
z ulicy
KOCIEJ

Ilustrowała AGATA RACZYŃSKA



NASZA KSIĘGARNIA

1. ULICA KOCIA 5



Mam na imię Zosia. Okropnie, prawda? Jeszcze nie spotkałam dziewczyny, której podobałoby się jej własne imię. W zerówce były same Zuzie, Zosie i Tosie... i jedna Leonia. Pomyślcie tylko!



Leonia...



To naprawdę pięknie brzmi... Okropnie jej zazdrościłyśmy, aż pewnego dnia okazało się, że Leo wolałaby nazywać się normalnie (tak powiedziała, słowo!).

– Niemożliwe! – zawołałyśmy chórem.

– Nie macie pojęcia, jakie to męczące tak się wyróżniać... – wyznała nasza koleżanka i westchnęła ciężko.

Może i miała trochę racji? Zdarzało się przecież – i to nie-

raz – że proszono ją o powtórzenie imienia. Podczas festynu z okazji Dnia Dziecka, gdy wchodziliśmy na scenę, by wziąć udział w konkursach... albo na zajęciach, kiedy pojawiali się nowi nauczyciele, którzy nas nie znali. Biedna Leo czerwieniła się i przestępowała nerwowo z nogi na nogę. Bardzo jej współczułam. Szczególnie wtedy, kiedy jakaś pani pytała głośno:

– Jak? Lewkonia? Możesz powtórzyć, dziewczynko?

Ale chyba najbardziej było mi jej żal, gdy chłopcy ułożyli ten okropny wierszyk:



Faktycznie – Leo była trochę grubsza niż reszta dzieciaków w grupie, ale czy to od razu powód, żeby się z niej naśmiewać? Chłopcy to odrębny temat... W każdym razie my, dziewczyny, stanęłyśmy w jej obronie, a pani Ania, nasza nauczycielka, zrobiła na ten temat specjalne zajęcia. I chłopcy przestali. Przynajmniej na pewien czas.

Może więc nie powinnam narzekać na swoje głupie imię? Teraz mam już prawie dziewięć lat i jestem jedyną



Zosią w klasie. Ale nie w domu! Czy to nie idiotyczne? Obie moje babcie to Zofie!!! Tyle że mamę mamy nazywamy Zelmer (ponieważ zachowuje się jak odkurzacz tej marki i zawsze dojada po

mnie i mojej młodszej siostrze ciasteczka,

kanapki i co tylko zostanie na naszych talerzach), a mama taty to Zula. Dzięki temu można się jakoś połapać w tej skomplikowanej rodzinnej sytuacji. Nie rozumiem, jak dorośli mogli do niej dopuścić?! Przecież kiedy się urodziłam, wystarczyło sięgnąć do księgi imion i byłoby po kłopotach. Tam jest naprawdę spory wybór... Co byście powiedzieli na Berekę? Albo Kasyldę? W ostateczności Hortensję...



Jeśli chodzi o nazwisko, to też mogłoby być lepiej. Wierzbowska brzmi całkiem nieźle, ale jest na W. Każdy uczeń na świecie wam to powie, że nie ma gorszej

rzeczy, niż wylądować na początku albo na końcu listy. Nauczyciele zawsze koncentrują uwagę właśnie na tych nieszczęśnikach... Zwłaszcza jeśli chcą zapytać o coś naprawdę trudnego...

Ale dosyć tego! Nie jestem przecież jakąś okropną pesymistką. Specjalnie zaczęłam od najgorszych rzeczy, żeby jak najszybciej mieć je za sobą. Teraz już będzie tylko lepiej. A! Jeśli chodzi o najgorsze rzeczy, to powinienam jeszcze raz wspomnieć o mojej młodszej siostrze Mani. Całkowita porażka! Czy można czegokolwiek wymagać od kogoś, kto ma trzy lata? A właściwie trzy i pół? Naprawdę niewiele da się osiągnąć...

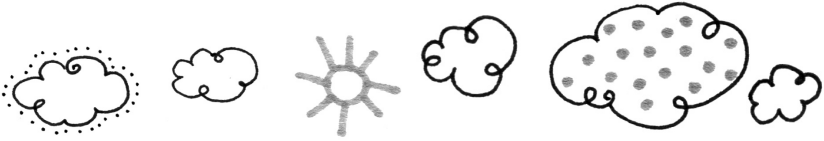
Choć muszę przyznać, że to dzięki Mani ruszyła lawina niecodziennych wypadków w naszej rodzinie. A może to przez psią kupę...?

Słyszałam kiedyś takie powiedzenie:



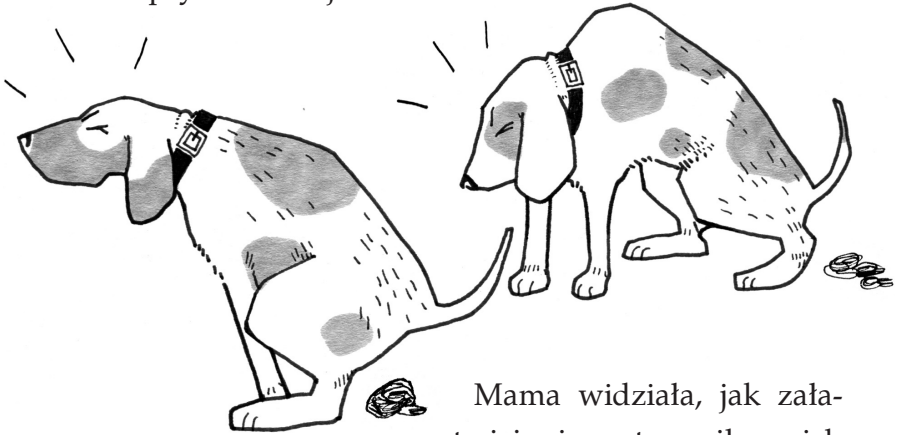
To była kropla, która
przelata czarę goryczy.

Czyli krótko mówiąc – wydarzyło się coś drobnego, co spowodowało, że ktoś nie mógł już dłużej tkwić w nie-



dobrej (z różnych powodów) sytuacji. Miał dość. Postanowił, że dalej się nie da. Taką kroplą okazała się w przypadku naszej rodziny zwykła psia kupa.

Działo się to pewnego pięknego, wiosennego popołudnia. Mama i Mania zmierzały w stronę ulubionego parku, a przed nimi kroczyła w oddali pewna pani i jej dwa psy. Wielkie jak cielaki.



Mama widziała, jak załatwiają się na trawniku, a ich właścicielka, zamiast posprzątać – odciąga je szybko i skręca w boczną uliczkę. Pech chciał, że akurat wtedy, kiedy mama i moja siostra znalazły się na wysokości psich produktów (w końcu są to produkty przemiany materii), zadzwoniła komórka.





Mama oczywiście za nic nie mogła jej znaleźć w swojej przepastnej torbie, a w tym czasie Mania najspokojniej w świecie siadła pupą w psiej kupie. Dokładnie nie wiemy dlaczego. Może się potknęła? A może był to po prostu któryś z jej idiotycznych pomysłów? A! Zapomniałam zaznaczyć, że to była bardzo rzadka kupa. Zielonkawa.

Mama zgrzytnęła zębami, po czym niewiele myśląc, złapała Manię i popędziła za kobietą i jej cielakami.
– Stać!!! – wrzeszczała jak opętana. – Niech pani sprzątnie swoją kupę!

Zdezorientowana Mania zaczęła płakać, a właścicielka psów oniemiała z wrażenia. Psy nie odzywały się w ogóle. Zapewne wstydziły się za swoją panią.

Cóż... Wszystko skończyło się przyjazdem straży miejskiej i wielką awanturą, a moja mama powiedziała wieczorem do taty:

– Mam tego dość, LUCJUSZU!



Nie chcę już dłużej mieszkać w tej okropnej Warszawie! Od dawna to powtarzam! Sprzedajmy mieszkanie i wy-
nośmy się stąd jak najszybciej. I tak jest dla nas za małe.
Dziewczynki powinny mieć oddzielne pokoje.

– Alu... Jak to sobie wyobrażasz? Zosia ma tu szkołę,
Mania przedszkole. No i moja praca... Te dojazdy... –
Tata był przerażony.

– Do szkoły i przedszkola w Warszawie można co-
dziennie dojechać! A poza tym wszystko jest lepsze od
psich kup! – oświadczyła mama, a ton jej głosu brzmiał
wyjątkowo stanowczo.

Doskonale wiedziałam, że nie żartuje. Potrafi być upar-
ta jak osioł. W tym jesteśmy do siebie bardzo podobne.

No i się zaczęło! Jeżdżenie, szukanie, narady rodzin-
ne. Okropność. Aż w końcu znalazło się odpowiednie
miejsce. Stary dom niedaleko miasta. Naprawdę blisko.
Z malutkim ogródkiem. W zacisznej uliczce.

– Wymaga sporego remontu... – marudził tata.





– I dlatego nie jest drogi! –
odpowiadała na to mama.

– Mógłby być trochę większy... – narzekał.

– I kto wtedy płaciłby za ogrzewanie?

Pomyślałeś o tym?

– Nie ma tam strychu – powtarzałam
co pewien czas.

Nie żebym była specjalnie wymagająca. Po prostu
uważam, że w każdym prawdziwym domu powin-
nien być strych. Jak u Pippi. Znacie na pewno Pippi
z powieści Astrid Lindgren.

– Przynajmniej nie będzie tam żad-
nych duchów! – mówiła natychmiast
mama, a Mania robiła wielkie oczy.

Bardzo dobrze wiedziała, o co
chodzi, bo bawiłyśmy się w duchy. To
znaczy – ja ją straszylam. Najczęściej
wtedy, gdy rodzice byli bardzo za-
jęci i mieli osłabioną czujność.

**– NIE PORADZICIE
SOBIE!**

– oznajmiała krzepiącym
tonem babcia Zelmer.



- Na pewno nie!

- dołączała się z uśmiechem babcia Zula. - Dojazdy do miasta wykończą was po miesiącu...

- Po tygodniu! - precyzowała babcia Zelmer z miną świetnego znawcy ruchu drogowego.

Tylko jedna osoba była zachwycona pomysłem mamy.

Jej siostra - ciocia Malina.

- Cudowny pomysł!

Nareszcie będziemy mieli jakiś znajomy ogród do odwiedzenia! - zachwycała się.



Zerkałam na nią spođe łba, nie dzielając wcale tych zachwyków. Doskonale wiedziałam, o co chodziło ciotce. Kombinowała po prostu, jak się pozbyć swojego szurniętego psa i utrapionych synków, czyli moich kuzynów - Krzysia i Misia. Nie wiem, który z nich był najgorszy - biorąc pod uwagę wszystkich trzech (z psem Rufusem włącznie). Chyba ten ostatni - wiekowy terier o wyglądzie zaniedbanej owcy i absolutnie nieprzewidywalnych reakcjach.



– To ze starości. Dawniej taki nie był – w ten sposób Malina próbowała tłumaczyć wszelkie jego ekscesy. A było ich niemało...

Lubiłam ciotkę, szaloną artystkę, która wszystko potrafiła zamienić w dzieło sztuki. A przynajmniej sama uważała, że to dzieła sztuki. Nie miała niektórych denerwujących cech mamy i kiedy się nami opiekowała, mogłyśmy liczyć na sporą swobodę. Byłoby miło, gdyby od czasu do czasu odwiedzała nas w nowym domu, byle nie za często...

Głównie ze względu na osoby towarzyszące...

Kiedy Malina głośno wyraziła swój zachwyt na temat planów mieszkaniowych naszej rodziny – wszyscy zamarli w oczekiwaniu na reakcję jej siostry, czyli Aliny. Dla nikogo nie było tajemnicą, że mama nigdy nie zgadzała się ze zdaniem Maliny i głośno dawała temu wyraz. Czasem bardzo głośno. Tym razem jednak tylko poczerwieniała i mruknęła coś pod nosem. Nie usłyszeliśmy dokładnie komentarza, ale ponieważ nie doszło do dalszej wymiany zdań o charakterze bojowym, wywnioskowaliśmy, że tym razem nie zanosilo się na kłótnię.

Tata od czasu do czasu powtarzał, że babcia Zelmer popełniła podstawowy błąd, nie nazywając Maliny Bal-

ladyną. Wtedy – tak uważał tata – zachowanie sióstr mia-
łoby przynajmniej uzasadnienie literackie. Nie bardzo
zrozumiałam to, co mi tłumaczył. Chodziło w każdym
razie o jakieś dwie siostry – Alinę i Balladynę, o maliny
i jednego faceta. Wszystko oczywiście źle się skończyło.
I zdaje się, że całą historię można obejrzeć w teatrze.

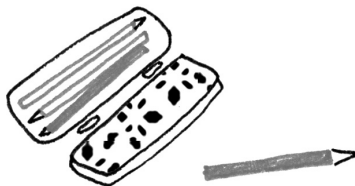
Na szczęście mama Alina i ciotka Malina już od daw-
na nie mieszkają razem i każda z nich ma swojego włas-
nego męża. Osobnego. No i nas, czyli:

mnie, Manię, Krzysia, Misia
i Rufusa,

oczywiście.



Koniec końców, po dość długim
remontcie wylądowaliśmy w tych całych
Łomiankach, przy ulicy Kociej 5. No i właśnie tutaj piszę
te słowa. A dokładniej – siedzę na jednej z pięciu jabłoni,
rosnących w naszym niewielkim ogrodzie. Zupełnie jak





Andi z powieści
Babcia na jabłoni...

Z tą różnicą, że ja

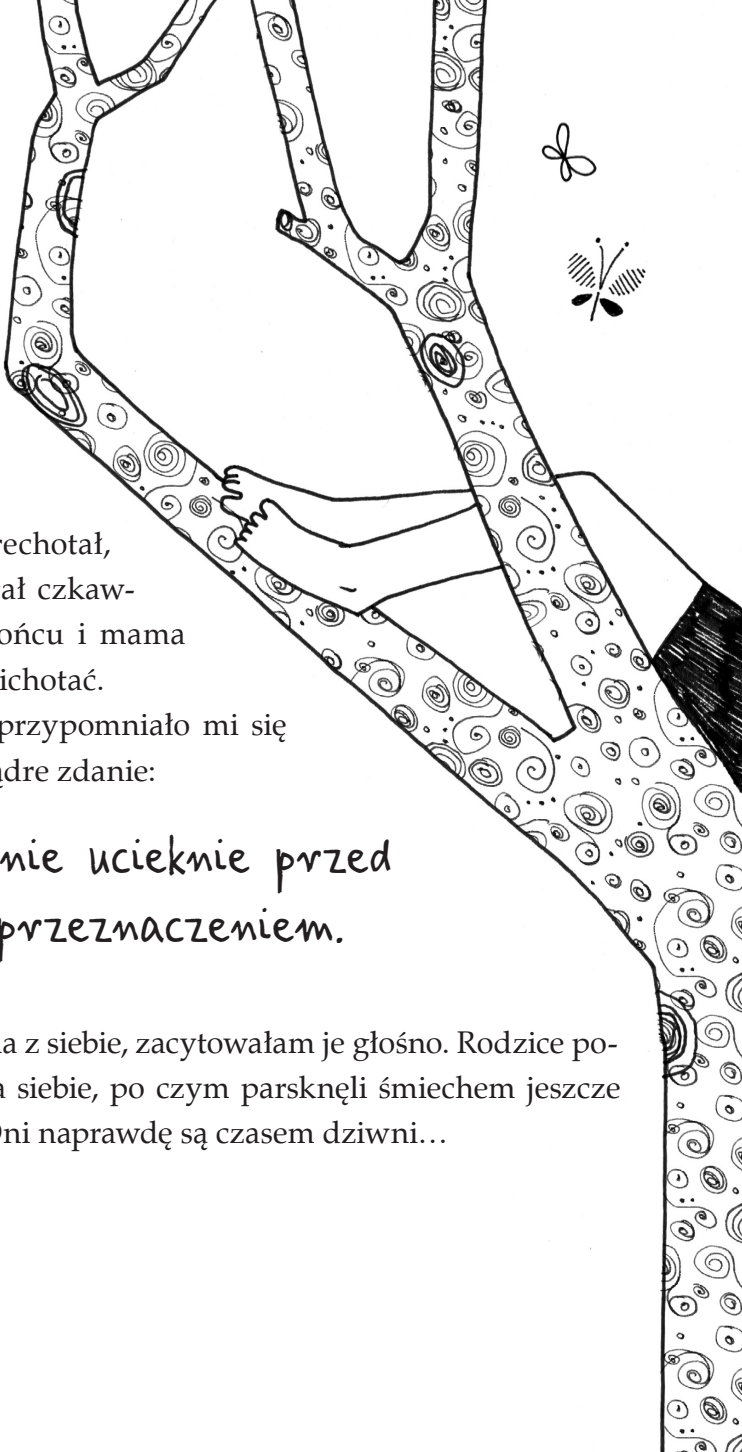
mam babcię, i to niejedną. Teraz jabłonie zaczynają rozkwitać i pachną niesamowicie.

Poza tym mamy tu jeszcze jakieś krzaki, wydeptaną trawę i nędzny żywopłot,

k który sam nie wie, w którą stronę ma rosnać. Niezbyt pięknie, ale to tylko kwestia czasu, ponieważ w moją mamę wstąpił duch osadniczki, wieśniaczki, ogrodniczki i ekolożki w jednej osobie. Zwozi jakieś donice z roślinami i całe dnie spędza w sklepach ogrodniczych. Koszmar.

A jeśli chodzi o psie kupy... Cóż... Nie jestem pewna, czy ta była akurat psia, ale z pewnością leżała sobie apetycznie na tarasie, kiedy pierwszego ranka w nowym domu mama otworzyła okno balkonowe.





Tata tak rechotał,
że aż dostał czkaw-
ki. A w końcu i mama
zaczęła chichotać.

Wtedy przypomniało mi się
kolejne mądre zdanie:

**Nikt nie ucieknie przed
swoim przeznaczeniem.**

I, dumna z siebie, zacytowałam je głośno. Rodzice po-
patrzyli na siebie, po czym parsknęli śmiechem jeszcze
głośniej. Oni naprawdę są czasem dziwni...

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.

02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c

tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,

faks 22 643 70 28

e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy:

tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42

Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32

e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl www.nk.com.pl

Książka została wydrukowana na papierze

Ecco-Book Cream 70 g/m² wol. 2,0.

MAP Polska

Redaktor prowadzący *Katarzyna Piętka*

Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*

Redakcja *Bogumiła Widła*

Korekta *Roma Sachnowska, Katarzyna Nowak*

Redaktor techniczny, DTP *Agnieszka Czubaszek*

ISBN 978-83-10-12207-0

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2012 r.

Wydanie pierwsze

Druk: EDICA SA, Poznań